


Strażniczka dziczy

Siedzę z Joanną na tarasie, pijąc gorącą herbatę. W jej oczach błyskają płomienie. Zapalają się ognie wspomnień. Kiedy mówi, wyraża to całym ciałem, gestem, mimiką. Słowa układają się w wartki nurt opowieści. Mała szara popielica, mieszkanka jej domu, przemyka po balustradzie i znika w zakamarkach jej swetra. To już 12 rok, od kiedy los połączył Joannę z tym dzikim zakątkiem Polski. Schronisko turystyczne w Komańczy, którego jest właścicielką, początkowo odwiedzała tylko w ciepłe miesiące roku. Na stałe sprowadziła się tu dwa lata temu. "Zakochałam się w Bieszczadach - wspomina swoje początki w górach. - Chciałam tu kupić kawałek ziemi, jakieś miejsce w dziczy gdzie mogłabym organizować ciekawe obozy i warsztaty".

Joanna Modzelewska-Coleman pochodzi z Warszawy, jednak znaczną część swego życia spędziła w Anglii,  gdzie mieszkała w rejonie Avalon. W 1986 r. była współzałożycielką Rainbow Circle Camps, którego celem była organizacja obozów rozwoju duchowego połączonego z troską o Ziemię. Zajmowała się również różnego rodzaju terapią, od rebirthingu po terapię tańcem. Kiedy w 1992 r. na Polanach Surowicznych w Beskidzie Niskim odbył się wielki zjazd ludzi związanych z ruchem Rainbow Family, Joanna była jedną z osób, które to spotkanie przygotowywały. Rok wcześniej, będąc na podobnym zjeździe na Tworylnem w Bieszczadach, narodził się pomysł zakupu ziemi i prowadzenia tu obozów. Chciała, aby Bieszczady, które urzekły ją swoją dziczą i krajobrazem, były również miejscem jej zamieszkania. Jednak na początku lat 90. w Bieszczadach nie było jeszcze ziemi na sprzedaż, a prywatyzacja gruntów państwowych dopiero się zaczynała. Jedyne co mogła wtedy kupić, to schronisko w Komańczy. Postanowiła więc spróbować swych sił w branży turystycznej. Jej marzeniem było stworzenie schroniska z prawdziwego zdarzenia. Nie takiego, gdzie można się jedynie napić piwa i przenocować, lecz które byłoby miejscem nowych inspiracji i idei. To przedsięwzięcie okazało się jednak nie tak proste do wykonania i to bynajmniej nie z powodu pieniędzy.

"Schronisko było własnością Związku Studentów Polskich - opowiada Joanna. - Związek jako taki już wtedy właściwie nie istniał, natomiast istniała cała klika "panów-już-nie-studentów". To oni zarządzali tym majątkiem. Ode mnie brali pieniądze, a w zamian dawali fałszywe i nieważne umowy na sprzedaż tego miejsca. Przyjeżdżałam specjalnie z Anglii, bo już miała być umowa gotowa do podpisywania, a potem nagle okazywało się, że muszę zjawić się po raz kolejny, aby dopełnić innych formalności".

W ten sposób zwodzono ją przez kilka lat. Argumenty były wciąż nowe: że nie ma jeszcze przygotowanej umowy notarialnej, że trzeba poczekać na uregulowanie sprawy gruntów z gminą, że zarząd ZSP się zmienił i osoby, które z nią wszystko załatwiały już nie pracują itp. W 1999 r. doszło nawet do tego, że chciano ją ze schroniska wyrzucić, mimo że za budynek zapłaciła. Na szczęście w porę udało się jej dotrzeć do byłego prezesa ZSP i ten emerytowany, bardzo poważny człowiek zadzwonił do nowych władz i zapytał się wprost: "Co wy wyprawiacie z Modzelewską w Komańczy". Proszę to załatwić od razu, dosyć tego wodzenia jej za nos przez dziesięć lat". Wydawało się, że w ten sposób sprawa została raz na zawsze zakończona. Szefostwo Związku zdecydowało jednak, że nowa właścicielka musi dopłacić 20 tys. zł, aby umowę sfinalizować. Zapłaciła.

Jednak kłopoty z budynkiem na tym się nie skończyły, bowiem o kupno schroniska, położonego w atrakcyjnym miejscu, zabiegali również inni, w tym koło łowieckie. Dla myśliwych duży budynek w lesie, z magazynem do przechowywania ubitej zwierzyny, to idealne miejsce spotkań i nasiadówek, gdzie nikt nic nie widzi i nie wiadomo, "co wychodzi z lasu". Nie chcieli więc tak łatwo ustąpić z pola walki. Widząc jednak, że nie są w stanie jej wygrać w sposób cywilizowany, postanowili pozbyć się

przeciwnika w inny sposób. Zastraszyć go.

"Walczyłam z nimi przez dłuższy czas, a oni robili co mogli, abym stąd wyjechała - przywołuje te trudne chwile. Joanna .Kiedyś Anglicy z dziećmi przyjechali do mnie w odwiedzinach na kilka dni. Ucieszyłam się bardzo z tej wizyty, bo mogli popilnować domu w czasie, kiedy załatwiałam różne sprawy w Krośnie. I wtedy zaczął się horror. Ktoś wszedł do budynku nocą przez garaż i zaczął tam strasznie hałasować. Znajomi nie wiedzieli, co się dzieje, byli sami w domu w lesie, w obcym kraju. Tak się wystraszyli tego hałasu, że uciekali w nocy prawie w koszulach nocnych z paszportami w zębach. Chodziło o to, aby mnie zniechęcić do pobytu tutaj, ale im się to nie udało".

Swoje schronisko nowa właścicielka nazwała RE-Earthing Center, gdyż ważny dla niej był kontakt z naturą i powrót do więzi, jakie łączą ludzi z Ziemią. W gościnnych progach odbywały się często warsztaty prowadzone przez Pracownię na rzecz Wszystkich Istot, a także spotkania aktywistów walczących o ochronę słynnego "Łokcia" na rzece Osławie, gdzie lokalny biznesmen postanowił wybudować elektrownię wodną. Trud wielu osób i nacisk na odpowiednie gremia decyzyjne spowodował, że "Łokieć" został uratowany i zamiast elektrowni powstał rezerwat przyrody "Przełom Osławy koło Duszatynia". Przyroda i jej obrońcy mogli więc odetchnąć. Do czasu. Niebawem okazało się, że stary las rosnący wokół schroniska osiągnął według operatu leśnego wiek rębny i dni wiekowych jodeł i buków są policzone.

"Wycinka zaczęła się jesienią 2002 roku i cały czas jest kontynuowana - ze smutkiem mówi Joanna. Rozpoczęła się od Prełuk, gdzie zaczęto wycinać stare drzewa. Kiedy po powrocie z Amsterdamu zaczęliśmy interesować się tą sprawą, wtedy już praca wrzała, przerażenie ogarniało mnie na widok pociętych kłoców, które leżały dookoła. Na wiosnę rozpoczęła się zrywka ściętych drzew. To była masakra, coś straszego. Jak oni poryli las. Chyba przez pół roku nie weszłam tutaj do lasu, tylko chodziłam dookoła. Nie mogłam przejść przez strumień, nie mogłam patrzeć na to".

Jej wizja miejsca łączącego ludzi z lasem, którą chciała w Komańczy realizować, powoli zaczęła zamieniać się w gruzy. Postanowiła jednak nie przyglądać się temu bezczynnie i bronić starych jodeł i buków przed wycinką. Jej wystąpienie do miejscowego leśnictwa spotkało się jednak z całkowitym niezrozumieniem, a kolejne próby interwencji kończyły się fiaskiem. Komuś jednak jej zachowanie zaczęło bardzo przeszkadzać, bo okazało się, że samochód pozostawiony przed jej domem został w nocy całkowicie zniszczony. Powyrywano instalację elektryczną, odłamano lusterka, przecięto wszystkie opony. W jakiś czas później wycięto również drzewa wokół studni, z której pobierała wodę dla schroniska. Na szczęście woda płynęła z głębszych pokładów ziemi i w czasie letnich upałów studnia nie wyschła. To jednak nie był koniec kłopotów.

"Było to na początku lata - opowiada Joanna. Przy drodze robotnicy leśni wycinali leszczyny i wierzby, aby była lepsza widoczność. Poszłam więc do nich, bo chciałam spytać, czy nie mogłabym wziąć gałęzi. Były nam potrzebne, bo budowaliśmy indiański szałas pary. Zanim mi się jednak udało spytać leśniczego, to on już był przy mnie, wyzywając mnie od k..., zapalił piłę i zamierzał przyłożyć mi ją do brzucha... Wiedział, że ja o ten las walczę i prawdopodobnie był przekonany, że znów przyszedłam się awanturować o to, co wycinali. W momencie, gdy leśniczy zaatakował mnie piłą, razem ze mną był mój syn Sam. Krzyknęłam: >>Sam, filmuj to<<. Wtedy ten człowiek ruszył na Samuela i jego kamerę. Nikomu na szczęście nic złego się nie stało, ale były wrzaski i obelgi pod naszym adresem, po czym sprawa na jakiś czas ucichła. Radzono mi, aby skierować tę sprawę do prokuratury. Jestem jednak tutaj bardzo osamotniona i boję się, że nam podpalą dom".

Siedzimy na tarasie schroniska, grzejąc ręce ciepłą mocną herbatą. Popielica ostrożnie wysunęła pyszczek z szerokiego rękawa swetra mej rozmówczyni. Blask słońca zatańczył na rynnie. Dźwięk słów powoli zamienił się w ciszę.

